

W. Horowicz.

Niespodziewany napad.

(Wspomnienia.)

W największej tajemnicy wydane zostały rozkazy. Po mozołnym odwróceniu z Kielc, gdzie Moskałe o mało nie ogarnęli całego oddziału strzeleckiego, znaleźli się ochotnicy polscy pod Szczucinem i Nowym Korczynem, aby bronić przeprawy przez Wisłę. We wschodniej Galicyi zwyciężkie wojska rosyjskie parły na Przemyśl i San, zaś od północy szła potężna armia ku Krakowowi, spychając armie państw centralnych coraz bardziej ku Wiśle. Oddziały strzeleckie miały do ostatniej chwili trzymać brzegi Wisły i nie pozwolić, aby Moskałe wcześniej do Galicyi się dostali. Piłsudski po raz pierwszy rozwinął tu w całej pełni swe zdolności strategiczne i od dwóch tygodni blisko nękał napierające przeważające siły rosyjskie, nie pozwalając mu zbliżyć się do brzegów rzeki.

Co noc szły po cichu bataliony na lewy brzeg, albo pojedynczo, albo większymi formacjami; robiono wyprawy po dwadzieścia i więcej kilometrów w głąb Królestwa i tu nagle napadano na oddziały rosyjskie. Moskałe zaskoczeni tak kilkakrotnie, nie mogli zorientować się z jakimi siłami mają do czynienia, nie śmiali się też naprzód posuwać.

Dzisiaj kolej wypadła na batalion, w którym Stach służył. Po raz pierwszy miał się naprawdę znaleźć w ogniu. Zmierzch już zapadał, kiedy nagle ruch się zrobił po oddziałach.

— Idziemy! — poszedł szept. Z komendy przyszedł rozkaz, aby batalion przysposobił się do przeprawy. W żołnierzy poszedł jakby prąd elektryczny. Nagle przycichli wszyscy. Każdy przyciągnął silnie troki plecaka, przeliczył naboje i pilnie obejrzał karabin. W pół godziny z opustoszałej wsi nadbrzeżnej zaczęły się w mrokach nocy wysuwać kompanie i po cichu podchodziły ku brzegom Wisły. Stach także jak inni opatrzył broń. Szedł przejęty ważnością chwili. Idący obok kolega tracił go lekko kolbą.

— Bedziemy na pewno się bili, słyszałem jak adiutant opowiadał, że mam za wszelką cenę dostać się na tyły pozycji artylerii rosyjskiej, która wczoraj nadeszła. Jeśli tego nie dokonamy, przepadną nasze wyprawy, bo Mochy nas już więcej przez Wisłę nie puszczą.

— Ano, to i dobrze. Nareszcie spróbujemy.
— A jak ci na sercu?
— Lekko!... A Tobie?
— Mnie? — zaśmiał się z cicha — żebym tylko którego mógł dopaść!
— To co?
— Zatlukłbym na śmierć.
— No, no, żeby tylko oni ciebie nie zatlukli, uważaj Kazek.

Doszli do brzegu i rozmowa się urwała. Stali w nadbrzeżnych szuwarach, zasłonięci zupełnie gęsto rosnącą wikliną. Z dala dochodził cichy poszept wody. Nie widzieli jej, ale czuli jej mokry oddech. Stach oparł się na karabinie i zadumał.

Oto kilka miesięcy temu żegnał tę Wisłę w promieniach wschodzącego słońca, tam, daleko... Tam Hanka. Nie miał już od niej listu kilka tygodni. Co się tam dzieje? Ostatni list był taki jakiś obojętny, zimny. A jemu tu czasami tak tęskno za domem! I nagle przed oczyma stanął mu ten cichy ich pokój, Hanka pochylona nad robotą, syn... Nie słyszał rozkazu.

Kazek tracił go energicznie w bok.

— Chodźmy!

Udeptaną ścieżką spuszczały się powoli ku rzece. Wreszcie ujrzeni ją. Spokojnie toczyła swe fale, z cichym pluskiem uderzając o brzegi. Ciemne sylwetki żołnierzy poruszały się na dwu promach, które stały obok siebie, przyjmując nadchodzących żołnierzy. Po chwili płynęli cicho po wodzie. Plusk wiosel mącił jej tonie, a fale smętnie łamały się pod naporem promu. Za chwilę stali już na drugim brzegu. Szybko sformowali się do marszu i utonęli w wiklinie. Tak szli z pół godziny.

Kolumna zatrzymała się nieruchoma. Od czoła odzieliło się kilkanaście postaci i rozproszyły w ciemności.

Po kilku minutach ruszono znowu.

— Nie palić i iść jak najciszej!

Rozkaz z ust do ust podawany przeleciał szeregi. Jak duchy przemykali się przez pole. W oddali czerniał las, do którego dążyli. Noc była ciemna, chmury zasnuły niebo, to też chwilami jeden drugiego trzymać się musiał, aby się nie pogubić. Na brzegu lasu kompanie znowu stanęły. Komendanci zeszli się na radę, po chwili oddziały rozdzieliły się i kompania Stacha ruszyła pierwsza.

W lesie ciemności stały się jeszcze gęstsze. Stach co chwila zawadzał to o korzenie drzew, to o gałęzie, starał się jednak iść naprzód, czyniąc jak najmniej hałasu. Jego towarzysz kłął z cicha.

Wreszcie od czoła kolumny przyszedł cichy rozkaz „Stój!” Wszyscy byli zmęczeni — przedzieranie się przez las trwało blisko godzinę, mimo to napięcie nerwów podtrzymywało energię i nikt nie myślał o odpoczynku.

W milczeniu stali czekając rozkazu.

— Bagnety na broń!

Szczęknięły żelaza i lekki błysk stali przepłynął pod zwieszonymi konarami drzew.

— Ładuj broń!

Chrzęstnęły zamki. Stach nerwowo odpiął ładownicę i systematycznie wsunął naboje w magazyn. Po przez konary drzew przeleciał skrawek nieba, chmury rozsuwały się i gdzieś z przestworzy mruknęła ku niemu samotna gwiazdka. Mimowoli zapatrzył się na nią i zdało mu się, iż mruganie jej dodaje mu otuchy. Silniej ścisnął broń i spojrzał przed siebie. Las zaraz się kończył, a dalej szarzało pole zarosłe kępami krzaków.

Padła przyciszona komenda: „W tyraliery!” Jak wąż zaczęła kompania rozwijać się na skraju lasu. Wreszcie ruszyli naprzód. Pochyleni, przekradając się od drzewa do drzewa, doszli do ostatniego ich szeregu i znowu stanęli. Stach wychylił się z za pnia, który go osłaniał i spojrzał na pole.

W oddali była wieś. Gdzieś tam błyszcząły światelka, niektóre poruszały się.

— Więc to już! Tam Moskałe! — przeszło mu przez głowę. Widział jak kilku żołnierzy chyłkiem wyszło z lasu i powoli poczęli podkładać się do wsi. Pełzali od krzaka do krzaka — jakiś czas mógł ich śledzić wreszcie zginęli mu w mrokach nocy.

Czekali.. jak długo stali — nie pamiętał.

Nagle te same postacie żołnierskie wyłoniły się z ciemności, patrol wracał. Padła komenda i linia cała posunęła się naprzód. Szli jak duchy. Każdy ścisnął kurczowo karabin, wpatrzony w błyszczące we wsi światła. Kazek, który szedł niedaleko, w pewnym momencie podsunął się ku niemu i przykładając usta prawie do jego ucha, szepnął:

— Podobno pilnują, będzie ciepło!

Stach tylko nerwowo skinął głową.

Jak poszept cichy, przypłynął skądś rozkaz: Padnij! Stach poczuł pod sobą zagony ścierniska. Przytulił się do ziemi.

— Skokami naprzód!

Ubiegli kilka kroków i znowu padli.

Nagle w oddali kilkudziesięciu kroków, w ciemnościach nocy zamajaczyło coś przed krzakiem, ku któremu Stach ostrożnie się podsuwał. Człowiek?... Jeszcze raz podpełzali kilka kroków.

W tem z prawej strony z daleka huknął nagle wystrzał. Echo poniosło go po lesie. Odpowiedział mu w tej chwili drugi, trzeci...

— Sposłrzegli nas — pomyślał Stach. Wprost niego krzak poruszył się, błysło, a nad jego głową coś żałośliwie zaświegotało. Równocześnie sposłrzegli sylwetkę uciekającego szybko człowieka.

— Ognia! — rozległ się donośny głos. Nie można się było już dłużej ukrywać. Stach nerwowo ścisnął karabin, zmierzzył w uciekającą postać i pociągnął za cyngiel. Równocześnie na całej linii zagrzmiała palba. We wsi zakotłowało się jak w ulu. Dolatywały z oddali okrzyki i nawoływania. Linia tyralierska szła już w pełnych skokach naprzód, strzelając gęsto.

Moskałe byli widocznie na napad przygotowaniu, gdyż i od wsi zaczęły coraz gęściej nadlatywać kule. Z żalosnym świstem przecinały powietrze, uderzając tu i ówdzie głucho w ziemię. Stach przymknął na chwilę oczy, czuł dziwny zamęt w głowie. Tętna były mu przyspieszonym tempem, opanowywało go dziwne jakieś odurzenie.

— Naprzód! Wyrzucić ich ze wsi!

Głosne hurra! było odpowiedzią. Strzelcy poderwali się z ziemi i jak huragan ruszyli naprzód. Wtem krwawy blask rozświetlił ciemności. Rósł on, potężniał z każdym momentem. Stach, który pędził z przymkniętymi powiekami, rozwinął je.

— Acha, Moskałe wieś palą — przemknęło mu przez głowę.

Od wsi nowa salwa, w mgnieniu oka dojrzał Stach, jak dwie, trzy postacie biegnących rozkrzyżowały ręce i zwały się na ziemię. Wściekłość go opanowała.

Przed nimi huknęło nagle: Ura! moskiewskie. A więc już dopadli! Zakotłowało się. W pewnym momencie w blasku ognia dostrzegł Stach przed sobą szary szynel i wykrzywioną, dziką twarz. Pchnął silnie bagnietem. Coś na nim nagle zaciężyło. Szarpnął i pognął dalej. Zewsząd otaczał go zamęt i wrzaski. W tem głową wyrzucił o coś twardego, aż mu w oczach wszystkie jasności stanęły. To go oprzytomniło.

Stał przed chałupą wiejską. Z dala widział, jak Moskałe uciekają rzucając karabiny, za nimi gnali jego towarzysze. Napad się udał. Chwilę jeszcze trwała strzelanina i gonitwa. Moskałe pierzchli w las, pozostawiając kilku jeńców, rannych i zabitych.

Zabrzmiął sygnał. Na ulicy wioskowej zebrała się kompania. Przy blasku płomieni przeliczyli się. Brakło pięciu. Trzech z nich leżało na zagonach pod wsią, a dwóch ciężko rannych przyniesiono po chwili na płaszcach.

Komendant ocierał pot z czoła. Twarz mu się śmiała, był zadowolony. Stach nadaremnie szukał oczyma swego towarzysza. W zamęcie stracił go zupełnie. Wreszcie gdzieś na końcu wsi dojrzał powoli wlokącego się Kazka. Podbiegł ku niemu.

— Co ci? Czyś ranny?

— Psiekrwie, przestrzelili mi rękę.

Krew ciekła przez rękaw płaszcza. Ostrożnie zdjął mu Stach ubranie, urwanym rękawem koszuła na przedce przewiązali ranę i opierając się na Stachu Kazek stanął w szeregu.

Zropaczni mieszkańcy wsi biegali bezładnie w różne strony. A pożar szalał coraz potężniej, ogarniając coraz nowe budowle. Jak zapalki zapalały się strzechy jedna po drugiej, tak iż o ratunku prawie mowy być nie mogło. Stachowi żal się zrobiło biednych chłopów. Byłby chętnie biegł ratować, ale karność żołnierska trzymała go w szeregu.

Kapitan odwrócił się do adiutanta.

— Poruczniku, zabrać broń porzuconą przez Moskali. Wyznaczyć osobny konwój jeńców. Za kwadrans wracamy. Acha! Czy patrole wysłane za Moskałami już wróciły?

— Nie, komendancie.

— To źle. Musimy zaraz ruszyć, już świta — ręką wskazał na wschód.

Stach spojrzał we wskazanym kierunku. Na nieboskłonie, dotychczas ponuro czarnym, zaczął rysować się wązki, jasny paseczek.

W szeregach rozmawiano wesoło. Wszyscy mówili jeden przez drugiego. Tyle wrażeń przeżyli przed chwilą.

W tem na drodze od lasu, w którym zniknęli Moskałe, zamajaczyło kilka postaci. Biegły one szybko ku wsi.

— Patrole! Patrole! — przeszedł szept po szeregach.

Oficerowie skupili się w gromadkę koło komendanta, adiutant pobiegł naprzeciw.

Po chwili w kręgu światła pożaru ukazało się kilku żołnierzy. Prowadził ich sierżant, który szybko podszedł do kapitana i chwilę z nim rozmawiał. Stach dosłyszał tylko wyraz „kozacy”.

Kapitan spokojnie zapalił papierosa, poczem zwrócił się do otaczających go oficerów.

— Panowie, już czas!

Szeregi zwinęły się na miejscu, rozpadły, a po chwili ostatni już żołnierze znikali w mrocznym wnętrzu lasu.

Purpurowe blaski przepelniały już powietrze, kiedy po szybkim a utrudzającym marszu kompanie spotkały się u przeprawy. Dzień wstawał, upalny dzień letni. Zmęczeni strzelcy ożywili się na myśl, że na drugim brzegu czeka śniadanie. Wszyscy wracali zadowoleni, mimo iż w każdym oddziale po kilku brakowało. Stach tęsknem spojrzeniem objął Wisłę, przypomniała mu ona Kraków.

